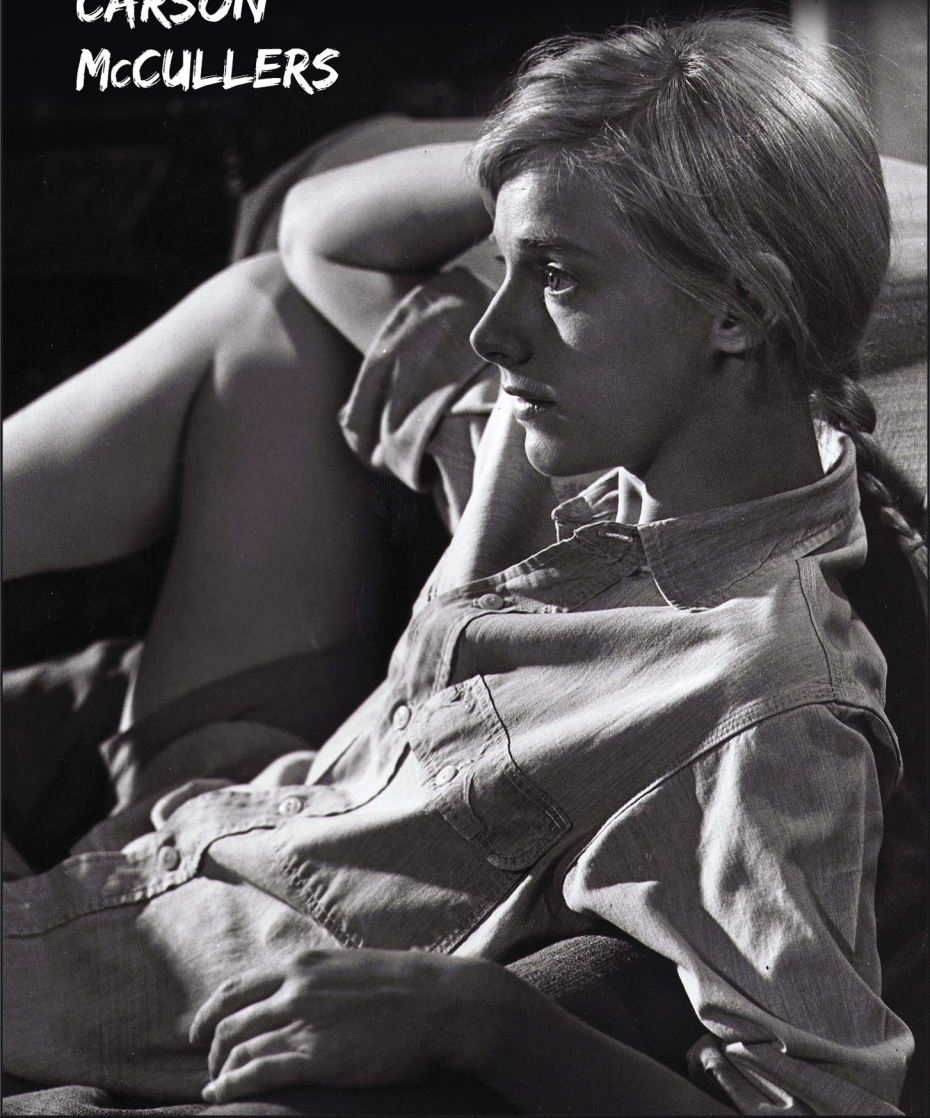


SERCE TO SAMOTNY MYŚLIWY

CARSON
McCULLERS



1

W mieście żyło dwóch głuchoniemych, którzy nigdy się nie rozstawali. Co dzień wczesnym rankiem wychodzili z domu i trzymając się pod rękę szli do pracy. Dwaj przyjaciele różnili się wyglądem. Ten, który szedł pierwszy, gruby i ociężały, był Grekiem. Latem paradował w żółtej lub zielonej koszulce, wetkniętej niedbale z przodu w spodnie, a z tyłu puszczonej luźno. Kiedy było chłodniej, wkładał rozciągnięty szary sweter. Twarz miał okrągłą i tłustą, powieki stale wpółprzymknięte, wargi wygięte w głupawym, łagodnym uśmiechu. Drugi głuchoniemy był wysokiego wzrostu. Oczy miał żywe i inteligentne. Ubierał się w kolory spokojne i był zawsze niezwykle czysty.

Co rano przyjaciele szli razem w milczeniu aż do głównej ulicy miasta. Przed sklepem owocowo-cukierniczym przystawali na chwilę na chodniku. Grek, Spiros Antonopoulos, pracował u swego kuzyna, który był właścicielem sklepu. Zajęcie jego polegało na układaniu cukierków i innych słodczy, wyjmowaniu owoców ze skrzynek i utrzymaniu porządku w sklepie. Wysoki niemowa John Singer prawie zawsze przed rozstaniem kładł rękę na ramieniu przyjaciela i wpatrywał się przez chwilę w jego twarz. Pożegnawszy go w ten sposób, przechodził na drugą stronę ulicy i szedł dalej, do sklepu, gdzie grawerował stołowe srebro.

Późnym popołudniem spotykali się znowu. Singer przychodził do owocarni i czekał, aż Antonapoulos będzie gotów do wyjścia. Grek leniwie rozpakowywał skrzynkę brzoskwiń czy melonów albo przeglądał pismo humorystyczne w kuchni za sklepem, gdzie gotował. Zanim wyruszyli do domu, Antonapoulos zawsze otwierał papierową torbę, którą ukrywał przez cały dzień na jednej z kuchennych półek. Znajdowały się w niej resztki jedzenia: nadgryziony owoc, parę cukierków, kawałek pasztetówki. Zwykle przed wyjściem Antonapoulos kaczym krokiem podchodził cicho do witryny sklepu, gdzie układano mięso i sery. Otwierał chyłkiem witrynę i tłustą ręką szukał z lubością po omacku smacznego kąska, na który miał ochotę. Czasami kuzyn, właściciel sklepu, nie zauważał tego. Lecz gdy zauważył, wbijał w krewniaka wzrok, a na jego bladej, napiętej twarzy malowało się ostrzeżenie. Wtedy Antonapoulos ze smutkiem przesunął upatrzony kąsek z jednego końca witryny w drugi. Przez ten czas Singer stał wyprostowany, z rękami w kieszeniach i patrzył w inną stronę. Nie lubił być świadkiem tej scenki pomiędzy dwoma Grekami. Gdyż prócz picia i pewnej sekretnej przyjemności, którą uprawiał, kiedy był sam, Antonapoulos nade wszystko lubił jeść.

Dwaj głuchoniemi wracali wolno o zmierzchu do domu. Tam Singer rozmawiał zawsze z Antonapoulosem na migi, wykonując szybko rękami umowne znaki. Na twarzy jego malowało się podniecenie, szarozielone oczy jaśniały promiennie. Szczupłymi, silnymi rękami opowiadał przyjacielowi wszystko, co wydarzyło się w ciągu dnia.

Greki siedział rozparty w leniwej pozie i patrzył na Singera. Sam rzadko poruszał rękami, by coś powiedzieć, a jeśli to robił, to tylko po to, by dać do zrozumienia, że chce jeść, pić lub spać. Owe trzy pragnienia wyrażał zawsze za pomocą tych samych nieokreślonych, niezdarnych gestów. Wieczorem, jeśli nie był zbyt pijany, klękał przed łóżkiem i modlił się przez chwilę. Jego tłuste ręce kreśliły w powietrzu: „Dobry Jezu”,

„Boże”, „Święta Mario”. To były jedyne słowa, jakie umiał wymówić. Singer nie wiedział nigdy, ile jego przyjaciel rozumie z tego, co on mu opowiada. Ale to nie miało znaczenia.

Zajmowali wspólnie pięterko małego domku w pobliżu handlowej dzielnicy miasta. Były tam dwa pokoje. Na maszynie naftowej znajdującej się w kuchni Antonapoulos gotował wszystkie posiłki. Stały tam też: zwykłe proste krzesło dla Singera i zbyt mocno wypchana kanapa dla Antonapoulosa. Prawie całą sypialnię wypełniało duże podwójne łóżko z puchową kołdrą, w którym sypiał otyły Grek i wąskie składane łóżko Singera.

Obiad zawsze trwał długo, bo Antonapoulos lubił jeść i był bardzo powolny. Po jedzeniu kładł się na wznak na swojej kanapie i oblizywał powoli językiem jeden ząb po drugim, dla dokładności lub może dlatego, żeby czuć jak najdłużej smak jedzenia. Singer przez ten czas zmywał naczynia.

Czasem wieczorami grywali w szachy. Singer bardzo lubił tę grę i próbował nauczyć jej Antonapoulosa. Z początku przyjaciel nawet nie potrafił zainteresować się tym, dlaczego przesuwają się różne figury na szachownicy. Potem Singer zaczął trzymać pod stołem butelkę z jakimś dobrym trunkiem, którą wyciągał po każdej lekcji. Grek nigdy nie pojął dziwacznych skoków koników i posuwistych ruchów królowych, ale nauczył się paru stałych wstępnych posunięć. Wolał pionki białe i nie chciał grać czarnymi. Po paru pierwszych ruchach Singer grał dalej sam, a jego przyjaciel przyglądał się temu sennie. Jeśli Singer przypuszczał wspaniały atak na swoje własne pionki, tak że w końcu czarny król ponosił klęskę, Antonapoulos był zawsze bardzo zadowolony i dumny.

Dwaj głuchoniemi nie mieli innych przyjaciół i rozstawali się tylko na czas pracy. Każdy następny dzień przypominał poprzedni, gdyż byli tacy samotni, że nic nigdy nie mąciło im spokoju. Raz na tydzień szli do biblioteki po powieść detektywistyczną dla Singera, w piątek wieczorem do kina. A w dzień wypłaty odwiedzali zawsze fotografa nad domem towarowym i Antonapoulos kazał robić sobie zdjęcie za dziesięć centów.

Były to jedyne miejsca, gdzie uczęszczali regularnie. Istniało wiele dzielnic miasta, których nigdy nawet nie widzieli.

Miasto leżało pośrodku stanu, na dalekim Południu. Lato było tam długie, a miesiące zimowych chłódów krótkie. Prawie zawsze z olśniewająco lazurowego, niezmąconego nieba słońce słało na ziemię oślepiające, rozpustnie jasne promienie. W listopadzie przychodziły drobne chłodne deszcze, a później czasem mróz i bardzo krótkie miesiące zimy. Zimy bywały różne, ale lata zawsze upalne. Miasto było dość duże. Na głównej ulicy było kilkanaście budynków jedno- i dwupiętrowych, w których mieściły się sklepy i biura. Największymi jednak budowlami w mieście były fabryki tkanin bawełnianych, zatrudniające spory procent ludności. Fabryki rozwijały się pomyślnie, ale robotnicy klepali biedę. Często widziało się na ulicach wyniszczzone głodem twarze, na których malował się wyraz rozpacz i osamotnienia.

Lecz dwaj głuchoniemi nie czuli się wcale samotni. W domu z zadowoleniem jedli i pili, a Singer, z zapalem gestykulując, opowiadał przyjacielowi wszystko, co tylko mu przychodziło do głowy. Tak więc lata płynęły spokojnie. Singer był już mężczyzną trzydziestodwuletnim i mijało jedenaście lat, od kiedy zamieszkał z Antonapoulossem w tym mieście.

Pewnego dnia Grek zachorował. Siedział na łóżku trzymając się za brzuch, a po policzkach spływały mu duże, lśniące łzy. Singer zawiadomił o chorobie przyjaciela jego kuzyna z owocarni i sam załatwił sobie zwolnienie z pracy. Lekarz przepisał Antonapoulosowi dietę i zabronił mu pić wino. Singer ściśle przestrzegał tych wskazówek. Siedział przez cały czas przy łóżku przyjaciela i robił, co mógł, by uprzyjemnić mu czas, lecz Antonapoulos patrzył tylko na niego gniewnie kątem oka i nie dał się niczym zabawić.

Greki byli bardzo rozdrażnieni: stale krytykowali jedzenie i napoje owocowe, które przyrządzał dla niego Singer. Żądał nieustannie od przyjaciela pomocy przy wychodzeniu z łóżka, by móc się pomodlić. Gdy klękał, jego duże pośladki opadały

na małe stopy. Poruszał niezgrabnie rękami wypowiadając swoje „Święta Mario”, a potem chwycił za blaszany krzyżyk, który miał zawieszony na brudnym sznurku na szyi. Wbijał wzrok w sufit, a w jego dużych oczach malował się strach. Następnie zapadał w posępne milczenie i nie pozwalał przyjacielowi nic mówić.

Singer był cierpliwy i robił, co mógł. Rysował małe obrazki, a raz, chcąc zabawić Antonapoulosa, wykonał jego portrecik. Lecz uraził tym uczucia Greka, który nie dał się przejednać, póki Singer nie namalował mu młodej, ładnej twarzy z jasno-żółtymi włosami i porcelanowo niebieskimi oczami. A i wtedy jeszcze starał się nie okazywać zadowolenia.

Singer pielegnował przyjaciela tak troskliwie, że po tygodniu Antonapoulos mógł wrócić do pracy. Ale od tej pory ich tryb życia uległ zmianie. Dwaj przyjaciele zaczęli mieć kłopoty.

Antonapoulos nie był już chory, lecz się jakoś zmienił. Nie zadowalało go spokojne spędzanie wieczorów w domu. Kiedy chciał wyjść, Singer szedł za nim. Antonapoulos wchodził do restauracji, a gdy siedzieli już przy stole, wsuwał sprytnie do kieszeni kostki cukru, solniczkę lub nóż czy widelec. Singer zawsze płacił za to, co przyjaciel zabrał, i nie było żadnych zatargów. W domu łajał Antonapoulosa, lecz Grek patrzył tylko na niego z łagodnym uśmiechem.

Z upływem miesięcy obyczaje Antonapoulosa coraz bardziej się pogarszały. Pewnego dnia wyszedł w południe ze sklepu swego kuzyna i publicznie oddał mocz pod ścianą Banku Narodowego po drugiej stronie ulicy. Gdy idąc chodnikiem, spotykał ludzi, których twarze mu się nie podobały, atakował ich poszturchując łokciami i brzuchem. Pewnego dnia wszedł do jakiegoś sklepu i zabrał stamtąd lampę stojącą, nie płacąc za nią, a innym razem próbował wziąć kolejkę elektryczną, którą zobaczył w gablotce.

Dla Singera był to okres wielkich kłopotów. Prawie stale w porze lunchu musiał prowadzić Antonapoulosa do sądu, by załatwiać sprawy jego wykroczeń przeciw prawu. Procedura

sądowa stała się dla Singera rzeczą powszednią; żył w stanie ciągłego zdenerwowania. Pieniądze, które miał zaoszczędzone w banku, rozeszły się na grzywny i kaucje. Wszystkie swoje wysiłki i zasoby finansowe zużywał na to, by uchronić przyjaciela przed więzieniem z powodu kradzieży, nieprzyzwoitego zachowania w miejscach publicznych i napadów z pobiciem. Właściciel sklepu, u którego Antonapoulos pracował, nie zagłębiał się zupełnie w te kłopoty. Charles Parker (bo takie przybrał nazwisko) zatrudniał nadal Antonapoulosa, ale obserwował go stale z bładą, ściągniętą twarzą i wcale nie starał się mu pomóc. Singer czuł do niego antypatię.

Żył w ciągłym niepokoju i stale się martwił. Antonapoulos natomiast był zawsze spokojny; cokolwiek się działo, z twarzy jego nie schodził lekki, pogodny uśmiech. W latach poprzednich Singerowi wydawało się, że uśmiech przyjaciela jest mądry i subtelny. Nigdy właściwie nie wiedział, co Antonapoulos myśli. Teraz miał wrażenie, że w twarzy przyjaciela odkrywa jakiś nowy wyraz: chytry i żartobliwy. Chwytał go za ramiona i trząsł nim, aż się zmęczył, tłumaczył mu też coś ciągle na migi. Ale na nic się to zdało.

Singer wydał wszystkie swoje pieniądze i musiał pożyczać od jubilera, u którego pracował. Raz nie był w stanie zapłacić kaucji za przyjaciela i Antonapoulos spędził noc w więzieniu. Kiedy Singer przyszedł po niego nazajutrz, był bardzo ponury. Nie chciał wyjść z więzienia. Smakował mu obiad złożony z wędzonego boczku i kukurydzianego placka polanego syropem. Podobało mu się nowe poślanie i towarzysze w celi.

Tak długo mieszkali tylko we dwóch, że Singer nie miał nikogo, kto by go w strapieniu pocieszył. Antonapoulos nie pozwalał sobie przeszkadzać i nie chciał wyleczyć się ze swoich nawyków. W domu gotował czasem potrawę, którą jadł w więzieniu, a na ulicy nigdy nie było wiadomo, co za chwilę zrobi.

Aż w końcu Singera spotkała ostateczna klęska.

Kiedy pewnego dnia przyszedł do sklepu po Antonapoulosa, Charles Parker podał mu list. Z listu tego wynikało, że Charles

załatwił co trzeba, by umieścić kuzyna w państwowym zakładzie dla umysłowo chorych, odległym o dwieście mil. Wykorzystał swoje stosunki w mieście i szczegóły zostały już ustalone. W przyszłym tygodniu miał zawieźć i umieścić Antonapoulosa w zakładzie.

Singer przeczytał list kilka razy i przez chwilę nie mógł zebrać myśli. Charles Parker mówił coś do niego poprzez ladę, ale on nie próbował nawet odczytać z ruchu warg, o co mu chodzi. W końcu napisał na bloczku, który zawsze nosił w kieszeni: „Nie może pan tego zrobić, Antonapoulos musi zostać ze mną”.

Charles Parker potrząsnął gwałtownie głową. Nie bardzo dobrze umiał porozumiewać się po angielsku.

— To nie pana rzecz — powtarzał.

Singer wiedział, że wszystko skończone. Grek obawiał się, że pewnego dnia mógłby odpowiadać za zachowanie swego kuzyna. Charles Parker nie znał dobrze języka angielskiego, lecz wiedział, że dolar amerykański znaczy немало. Użył więc swoich wpływów i pieniędzy, by bez zwłoki umieścić krewniaka w zakładzie.

Singer nie mógł na to nic poradzić.

Następny tydzień upłynął jak w gorączce. Singer mówił bez przerwy. Choć ani na chwilę nie przestawał poruszać rękami, nie mógł wyrazić tego, co miał do powiedzenia. Chciał przekazać Antonapoulosowi wszystkie myśli, jakie kiedykolwiek nosił w głowie i w sercu, ale nie było na to czasu. Jego szare oczy błyszczały, a żywa, inteligentna twarz wyrażała ogromne napięcie. Antonapoulos przyglądał mu się sennie, a przyjaciel nie wiedział, co on naprawdę myśli.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Antonapoulos miał wyjechać. Singer wyciągnął swoją walizkę i bardzo starannie zapakował najlepsze z ich wspólnych rzeczy. Antonapoulos przygotował sobie kanapki na drogę. Późnym popołudniem szli po raz ostatni ulicą, trzymając się pod rękę. Był chłodny dzień pod koniec listopada; w powietrzu przed sobą widzieli małe obłoczki pary z własnych oddechów.

Charles Parker miał jechać wraz z kuzynem, ale na dworcu autobusowym trzymał się z daleka od nich. Antonapoulos wpakował się do autobusu i po starannym dobieraniu miejsca usadowił się na przodzie. Singer patrzył na niego przez okno, a ręce jego poruszały się rozpaczliwie w ostatniej rozmowie z przyjacielem. Lecz Antonapoulos był tak zajęty oglądaniem wiktuałów, które miał w pudełku, że nie zwracał na Singera uwagi. Dopiero tuż przed odjazdem autobusu odwrócił się do niego z uśmiechem tak bladym i dalekim, jakby dzieliło ich wiele mil.

Tygodnie, które nastąpiły potem, wydawały się zupełnie nierealne. Singer pracował cały dzień, pochylony nad warsztatem w głębi jubilerskiego sklepu, a wieczorem wracał do domu sam. Nade wszystko pragnął usnąć. Po przyjeździe z pracy kładł się na łóżku i próbował zdrzemnąć się chociaż chwilę. Gdy tak leżał w półuśpieniu, nawiedzały go sny. A we wszystkich snach był Antonapoulos. Ręce Singera wykonywały nerwowe ruchy, bo we śnie rozmawiał z przyjacielem, który się w niego wpatrywał.

Singer próbował myśleć o czasach, kiedy jeszcze go nie znał. Próbował przypomnieć sobie pewne rzeczy, które wydarzyły się w latach jego młodości. Lecz nic z tego nie wydawało się rzeczywiste.

Pamiętał dobrze zwłaszcza jeden fakt, który wcale jednak nie wydawał mu się ważny. Przypomniawszy sobie mianowicie, że choć od dziecka był głuchy, nigdy nie był całkowicie niemy. Bardzo wcześnie został sierotą i umieszczono go w zakładzie dla głuchoniemych. Nauczył się tam porozumiewać na migi i czytać. Nie miał jeszcze lat dziewięciu, kiedy potrafił porozumiewać się jedną ręką w sposób amerykański, a dwiema na modłę europejską. Nauczył się śledzić ruchy warg innych ludzi i rozumieć, co mówią. Na koniec nauczono go mówić.

W szkole miał opinię bardzo inteligentnego chłopca. Uczył się lekcji szybciej od swoich kolegów. Ale nigdy nie mógł się przyzwyczaić do mówienia wargami. Miał uczucie, że to rzecz nienaturalna, język w ustach wydawał mu się wielorybem.

Widząc zakłopotanie na twarzach ludzi, do których odzywał się w ten sposób, czuł, że jego głos brzmi jak głos jakiegoś zwierzęcia, że w jego mowie jest coś odpychającego. Poruszanie wargami sprawiało mu przykrość, lecz jego ręce zawsze gotowe były nakreślić gestami słowa, które chciał wyrazić.

Kiedy skończył dwadzieścia dwa lata, przyjechał z Chicago do tego miasta na południu i natychmiast spotkał Antonapoulosa. Od tej pory nie mówił już nigdy wargami, bo w rozmowie z przyjacielem nie było to potrzebne.

Wszystko wydawało się nierealne z wyjątkiem tych dziesięciu lat, które spędził bardzo wyraźnie, a gdy się budził, odczuwał boleśnie swoją samotność. Kilka razy posłał mu paczkę, ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi. I tak mijały puste senne miesiące.

Z wiosną zaszła w Singerze zmiana. Nie mógł sypiać i dręczył go niepokój. Wieczorem spacerował w kółko po pokoju, nie mogąc w ciągu dnia zużyć tej nowej energii, która go rozsadzała. Odpoczywał jedynie w ciągu paru godzin przed świtem, zapadał wtedy w twardy sen, który trwał, dopóki ranny blask nie uderzył nagle jak zakrzywiona szabla w jego uchylające się powieki.

Zaczął wieczorami spacerować po mieście. Nie mógł wytrzymać w pokoju, gdzie mieszkał Antonapoulos, wynajął więc inny w marnym pensjonacie w pobliżu centrum miasta.

Posiłki jadał w restauracji dwie przecznice dalej. Znajdowała się ona na samym końcu głównej ulicy i nosiła nazwę „New York Café”. Pierwszego dnia Singer przejrzał szybko kartę, a potem napisał krótką notatkę i podał ją właścicielowi lokalu.

Co rano na śniadanie chciałbym dostać jajko, grzankę i kawę —	15 centów.
Na lunch — zupę (obojętnie jaką), kanapkę z mięsem i mleko —	25 centów.
Na obiad — trzy rodzaje jarzyn (wszystko jedno jakie, prócz kapusty), rybę lub mięso i kufel piwa	35 centów.

Dziękuję.

Właściciel przeczytał karteczkę i obrzucił go szybkim, dyskretnym spojrzeniem. Był to tęgi mężczyzna średniego wzrostu, o zaroście tak ciemnym i gęstym, że dolna część jego twarzy wyglądała jak odlana z żelaza. Zwykle stał w rogu przy kasie z rękami skrzyżowanymi na piersi i obserwował spokojnie wszystko, co się wokół niego działo. Singer poznał z czasem dobrze twarz tego człowieka, bo jadał w jego restauracji trzy razy dziennie.

Co wieczór głuchoniemy godzinami spacerował samotnie po ulicach. Niekiedy noce były chłodne, wiały ostre, wilgotne marmowe wiatry i padały gęste deszcze. Ale jemu było to obojętne. Poruszał się krokiem nerwowym, ręce miał zawsze wciśnięte w kieszenie spodni. Z upływem tygodni dnie stawały się cieplejsze i jakby ospałe. Niepokój Singera ustąpił stopniowo miejsca wyczerpaniu. Sprawiał teraz wrażenie całkowicie spokojnego. Na twarzy jego malował się wyraz zadumy, jaki widuje się najczęściej u ludzi zmartwionych lub bardzo mądrych. Nadal jednak błąkał się po ulicach, zawsze samotny i milczący.

2

W ciemną parną noc wczesnym latem Biff Brannon stał za kasą w „New York Café”. Była północ. Na ulicy pogaszono latarnie, światło padające z okien restauracji tworzyło na chodniku ostry, żółty prostokąt. Ulica była pusta, lecz w lokalu znajdowało się jeszcze paru gości, którzy pili piwo, wino „Santa Lucia” lub whisky. Biff przyglądał się im flegmatycznie, z łokciem opartym o ladę, ugniatając kciukiem czubek swego długiego nosa. Oczy jego były jednak czujne. Obserwował specjalnie uważnie niskiego, krępego mężczyznę w roboczym kombinezonie, który podpił sobie i zachowywał się hałaśliwie. Co pewien czas wzrok jego przesunął się na głuchoniemego, który siedział sam przy jednym ze stolików pośrodku sali, lub

na innych gości stojących przy bufecie. Lecz wracał znów do pijaka w kombinezonie. Godzina była już późna, a Biff ciągle w milczeniu czuwał za ladą. W końcu obrzucił ostatnim spojrzeniem lokal i skierował się ku drzwiom w głębi, prowadzącym na górę.

Wszedł cicho do pokoju na piętrze. Było tam ciemno, więc poruszał się ostrożnie. Po paru krokach uderzył butem w coś twardego, schylił się i namacał rączkę stojącej na podłodze walizki. Spędził w pokoju zaledwie kilka sekund i właśnie zamierzał wyjść, kiedy zabłyśło światło.

Alice usiadła na zagniecionej pościeli i popatrzyła na niego.

— Co ty tu robisz z tą walizką? — spytała. — Czy nie możesz pozbyć się tego wariata, nie zwracając mu rzeczy, które już i tak przepił?

— Rozbudź się i zjeżdż sama na dół. Zawołaj policjanta, niech go zabierze na ciężkie roboty i więzienny wikt. Idź, zrób to, pani Brannon.

— Zrobię na pewno, jeśli będzie tam jeszcze rano. Ale zostaw walizkę. Nie należy już do tego darmożjada.

— Znam się na darmożjadach, ale Blount nie jest darmożjadem. A ja sam... no, nie wiem... Ale złodziejem też jeszcze nie jestem.

Biff wystawił spokojnie walizkę na schody. Powietrze w pokoju nie było tak stęchłe i duszne jak na dole. Zdecydował się pozostać tu chwilę i przed wyjściem opłukać twarz zimną wodą.

— Powiedziałam ci już, co zrobię, jeżeli nie pozbędziesz się na dobre tego typu. W dzień leży do góry brzuchem i drzemie, a wieczorem dajesz mu obiad i piwo. Od tygodnia nie zapłacił ani centa. A to jego skandaliczne zachowanie i głupia gadanina zrujnują przyzwoity lokal.

— Nie znasz się ani na ludziach, ani na interesach — odpowiedział. — Facet, o którym tu mowa, zjawił się przed dwunastu dniami. Nikt go nie znał. W pierwszym tygodniu dał nam zarobić dwadzieścia dolarów. Co najmniej dwadzieścia.

— A od tamtej pory żyje na kredyt — stwierdziła Alice. —

Pięć dni na kredyt. I taki pijak to hańba dla lokalu. A poza tym to włóczęga i postrzeleniec.

— Ja lubię postrzeleńców — powiedział Biff.

— No myślę! Musisz ich lubić, panie Brannon, bo sam jesteś postrzelony.

Potańczał sinawy podbródek, nie zwracając na nią uwagi. Przez pierwsze piętnaście lat małżeństwa mówili do siebie po prostu „Biff” i „Alice”. Potem w czasie jakiejś sprzeczki zaczęli tytułować się „pan” i „pani” i odtąd nigdy nie pogodzili się na tyle, żeby to zmienić.

— Ostrzegam cię, że lepiej, by go tam nie było, kiedy zejdziesz jutro na dół.

Biff wszedł do łazienki i opłukawszy twarz, stwierdził, że zdąży się jeszcze ogolić. Podbródek miał ciemny i tak zarosnięty, jakby od trzech dni się nie golił. Stał przed lustrem i w zamyśleniu tańczał policzek. Żałował, że rozmawiał z Alice. Milczenie było lepszą metodą w stosunku do niej. Kiedy ta kobieta znajdowała się blisko, czuł się zawsze inny, niż był naprawdę. Stawał się uparty, małostkowy, pospolity — jak ona. Oczy Biffa były chłodne i błyszczące, na pół ukryte pod cynicznie opuszczonymi powiekami. Na piątym palcu stwardniałej ręki widniała obrączka ślubna. Drzwi za jego plecami były otwarte, mógł więc widzieć w lustrze leżącą na łóżku Alice.

— Posłuchaj — powiedział. — Cała bieda w tym, że nie masz prawdziwej życzliwości dla ludzi. Taką życzliwość miała tylko jedna kobieta, którą kiedyś znałem.

— A ja wiem, że ty robisz rzeczy, którymi żaden mężczyzna na świecie nie mógłby się chlubić. Wiem, że...

— Albo to może sprawa zainteresowań. Nigdy nie dostrzeżesz rzeczy naprawdę ważnych. Nie obserwujesz, nie myślisz, nie próbujesz sobie niczego wyobrazić. Na tym chyba w końcu polega największa między nami różnica.

Alice już prawie zasypiała. Przyglądał się jej obojętnie w lustrze. Nie było w niej nic, na co mógłby zwrócić uwagę: wzrok jego prześliznął się z kasztanowatych włosów na ciężkie

stopy rysujące się pod kołdrą i z twarzy o miękich zarysach na krągłe biodra i pełne uda. Kiedy był z daleka od niej, cała postać zamazywała mu się przed oczami, pamiętał tylko jedną niekształtną bryłę.

— Nie wiesz, co to za przyjemność przyglądać się czemuś — powiedział.

W głosie jej brzmiało znużenie.

— Ten facet na dole to rzeczywiście coś do przyglądania się — po prostu cyrk. Ale mam go dość!

— Do licha, mnie na nim nie zależy. Ani on mi brat, ani swat. Ale ty nie wiesz, co to znaczy stworzyć sobie prawdziwy obraz z mnóstwa szczegółów. — Odkręcił kran z gorącą wodą i zaczął się szybko golić.

Było to rano, piętnastego maja, kiedy do restauracji wszedł Jake Blount. Zauważył go natychmiast i zaczął obserwować. Był to niski mężczyzna o grubych jak belki ramionach, z małym postrzępionym wąsikiem, pod którym dolna warga wyglądała jak ukłuta przez osę. Wiele rzeczy wydawało się w tym człowieku sprzecznych. Głowę miał bardzo dużą i kształtną, ale szyję miękką i szczupłą jak chłopiec. Wąsiki sprawiały wrażenie sztucznych, jakby zostały przyklejone na bal maskowy i miały odpaść za chwilę, gdy właściciel ich będzie mówił zbyt szybko. Wyglądał z tymi wąsami na człowieka w średnim wieku, choć twarz jego o wysokim gładkim czole i szeroko otwartych oczach była młoda. Ręce miał bardzo duże, stwardniałe, całe w plamach, a ubrany był w tanie płócienne ubranie. Było w nim coś zabawnego, a równocześnie widok jego budził inne uczucie, które nie pozwalało się z niego śmiać.

Zamówił pół litra whisky i wypił ją w ciągu pół godziny. Potem usiadł przy stoliku i zjadł na obiad dużego kurczaka. Następnie czytał książkę i pił piwo. Tak się zaczęło. Choć Biff obserwował bacznie Blounta, nigdy by nie odgadł jego późniejszych szaleńczych wyczynów. Nie widział jeszcze człowieka, który by się w ciągu dwunastu dni tyle razy zmieniał. Nigdy nie widział, by ktoś pił tak dużo i tak długo był pijany.

Biff uniósł dużym palcem do góry czubek nosa i ogolił górną wargę. Skończył; twarz jego wyglądała teraz jakby bardziej chłodna. Alice spała, kiedy przechodził przez sypialnię idąc ku schodom.

Walizka była ciężka. Zaniósł ją do restauracji i postawił za kasą, gdzie stał każdego wieczoru. Rozejrzał się uważnie po lokalu. Paru gości już wyszło i na sali zrobiło się luźniej, lecz scena się nie zmieniła. Głuchoniemy dalej pił samotnie piwo przy jednym ze stolików na środku. Pijak nie przestawał gadać. Nie zwracał się specjalnie do tych, którzy go otaczali i nikt go też nie słuchał. Przyszedł dziś w niebieskim kombinezonie zamiast brudnego płóciennego ubrania, które nosił przez dwa-ście dni. Był bez skarpetek, a kostki nóg miał oblepione błotem.

Biff czujnie chwycił uchem urywki jego monologu. Mężczyzna plótł znów jakieś androny na temat polityki. Poprzedniego wieczoru opowiadał o stanach, które znał — o Teksasie, Oklahomie i obu Kaliforniach.

Kiedyś wjechał na temat burdeli i zaczął sypać tak nieprzyzwoitymi dowcipami, że trzeba było go uciszyć piwem. Ale przeważnie nikt nie wiedział, o czym on właściwie mówi. Gadał i gadał, i gadał. Słowa płynęły mu z ust potokiem. I stale zmieniał akcent i słownictwo. Raz mówił jak robotnik z fabryki włókienniczej, kiedy indziej jak profesor. Używał słów wyszukanych, to znów robił gramatyczne błędy. Trudno było orzec, do jakiego przynależy środowiska lub z jakiej części kraju pochodzi. Ciągłe się zmieniał. Biff w zamyśleniu gładził czubek nosa. Nie było w tym wszystkim żadnego związku. A przecież logiczny związek wiąże się zwykle z rozumem. Ten człowiek miał rozum w porządku, ale przeskakiwał z tematu na temat bez żadnego sensu.

Biff oparł się całym ciężarem o ladę i zaczął czytać wieczorną gazetę. Wielki nagłówek donosił o decyzji Rady Miejskiej podjętej po czterech miesiącach debat, a streszczającej się w tym, że budżet lokalny nie jest w stanie pokryć kosztu

świateł ulicznych na niektórych niebezpiecznych skrzyżowaniach w mieście. Lewa kolumna dawała sprawozdanie z wojny na Wschodzie. Biff przeczytał obie wiadomości z jednakową uwagą. Wzrok jego przesunął się po drukowanych literach, ale inne zmysły wyostrzone były czujnie na wszystko, co działo się dookoła niego. Skończywszy czytać te dwa artykuły, wpatrywał się dalej w gazetę z półprzymkniętymi oczami. Był zdenerwowany. Ten człowiek to problem: do rana musi z nim sprawę jakoś załatwić. Czuł też, nie wiadomo czemu, że coś ważnego wydarzy się tej nocy. Nieznajomy gość nie może tkwić tu wiecznie.

Biff poczuł, że ktoś stanął na progu, i podniósł szybko wzrok. W drzwiach ukazała się chuda jasnowłosa dziewczynka, lat około dwunastu. Ubrana była w szorty khaki, niebieską bluzkę i tenisówki. Na pierwszy rzut oka przypominała młodzieńckiego chłopca. Biff ujrawszy ją, odsunął gazetę i uśmiechnął się, kiedy dziewczynka do niego podeszła.

— Halo, Mick. Byłaś może na zbiórce skautek?

— Nie — odrzekła. — Nie należę do skautów.

Kątem oka dojrzał, że pijak uderzył pięścią w stół i odwrócił się od mężczyzn, do których mówił. Biff surowym głosem zapytał stojącą przed nim dziewczynkę:

— Czy twoi rodzice wiedzą, że jesteś poza domem po północy?

— Tak. Wszystko w porządku. Jeszcze kupa dzieci bawi się na naszej ulicy.

Nigdy nie widział, by przyszła do jego lokalu z jakimś dzieckiem w swoim wieku. Parę lat temu chodziła stale ze starszym bratem. Rodzina Kellych była bardzo liczna. Później zaczęła się zjawiać, pchając wózek z dwójgiem zasmarkanych niemowląt. Ale jeśli nie niańczyła maleństw lub nie starała się dotrzymać kroku starszym, była zawsze sama. Teraz, gdy tak stała, wydawało się, że nie może się zdecydować, po co przyszła. Dłonią co chwila odgarniała do tyłu wilgotne płowe włosy.

— Proszę paczkę papierosów. Najtańszych.

Biff chciał coś powiedzieć, ale się zawahał. Potem sięgnął ręką do szuflady. Mick wyjęła chusteczkę i zaczęła rozwiązywać jej róg, gdzie miała pieniądze. Kiedy szarpnęła za węzeł, na podłogę upadły z brzękiem drobne monety i potoczyły się w stronę Blounta, który stał, mrużąc coś do siebie. Przez chwilę wpatrywał się w nie oszołomiony, lecz zanim dziewczynka zdołała podbiec, by je pozbierać, przykucnęła w skupieniu i podniósł z podłogi pieniądze. Podeszedł potem ciężkim krokiem do lady i stanął, kołysząc w dłoni dwa centy oraz dwie monety po pięć i dziesięć centów.

— Siedemnaście centów na papierosy, co?

Biff czekał, a Mick spoglądała teraz to na jednego, to na drugiego. Pijak ułożył monety w mały stosik na ladzie, osłaniając je dużą brudną łapą. Wolnym ruchem wziął jednego centa i przytknął go palcem po ladzie.

— Pół centa dla tego biedaka, co sadił tytoń, i tyle samo dla durnia, co go zwijał. A dla pana, Biff, cały cent. — Starał się skupić wzrok, by odczytać napisy na pięciocentówce i dziesięciocentówce. Palcem przytrzymał dwie monety i kręcił nimi w kółko. W końcu odepchnął je od siebie. — Oto pokorny hołd złożony wolności. Demokracji i tyranii. Wolności i grabieży.

Biff spokojnie wziął pieniądze i wrzucił do szuflady. Mick miała taką minę, jakby chciała zostać tu jeszcze chwilę. Obrzuciła długim spojrzeniem pijanego mężczyznę, a potem skierowała wzrok na środek sali, gdzie głuchoniemy siedział samotnie przy swoim stoliku. Po chwili i Blount zaczął zerkać w tamtą stronę. Niemowa siedział spokojnie nad szklanką piwa, rysując leniwie po stole kawałkiem wypalanej zapalki.

Pierwszy odezwał się Jake Blount.

— Zabawne, ale we śnie w ciągu ostatnich trzech czy czterech nocy widziałem tego człowieka. Nie chce zostawić mnie w spokoju. Zauważył pan chyba, że on się w ogóle nie odzywa.

Biff rzadko wdawał się w dyskusje z jednym gościem na temat drugiego.

— Nie, nigdy — odpowiedział wymijająco.

— To zabawne.

Mick przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą i włożyła paczkę papierosów do kieszeni szortów.

— Nie ma w tym nic zabawnego, jak się go zna — powiedziała — pan Singer mieszka u nas. Wynajmuje pokój w naszym domu.

— Naprawdę? — zdziwił się Biff. — Coś takiego! Nie wiedziałem.

Mick ruszyła ku drzwiom i nie oglądając się powiedziała:

— No pewnie. Już od trzech miesięcy.

Biff obciągnął rękawy koszuli, a potem podwinął je starannie z powrotem. Nie odrywał wzroku od Mick, kiedy wychodziła z restauracji. A nawet parę minut po jej odejściu ciągle jeszcze bawił się swoimi rękawami i wpatrywał w puste drzwi. Potem skrzyżował ręce na piersiach i zwrócił się znów do pijaka.

Blount oparł się ciężko o ladę. Jego piwne oczy były wilgotne i szeroko otwarte w jakimś wyrazie otepienia. Bardzo potrzebował kąpieli, cuchnął jak kozioł. Na spoconej szyi miał paciorki z brudu, a twarz umazaną jakimś smarem. Wargi jego były grube i czerwone, ciemne włosy opadały w splątanych kosmykach na czoło. Kombinezon był za ciasny w kroku, toteż obciągał go co chwila.

— Człowieku, miej trochę rozumu. Nie możesz się tak wałęsać. Dziwię się, że cię nie zatrzymano za włóczęgostwo. Najpierw musisz wytrzeźwieć. Potrzebujesz kąpieli, a twoje włosy fryzjera. Matko Boska! Nie możesz się tak pokazywać wśród ludzi!

Blount skrzywił się i zagryzł dolną wargę.

— No, nie masz się czego obrażać i złościć — ciągnął Biff. — Zrób to, co ci powiem. Idź do kuchni i powiedz chłopcu, żeby dał ci dużą miskę gorącej wody. Niech Willie da

ci też ręcznik i mydło i umyj się porządnie. Potem zjedz trochę chleba z mlekiem, otwórz walizkę i włóż czystą koszulę i jakieś lepsze spodnie. A jutro możesz zacząć robić, co zechcesz, i pracować, gdzie zechcesz — i usatkuje się.

— Wiesz, co ci powiem — powiedział po pijacku Blount. — Możesz się po prostu...

— Nie, nie mogę — odparł bardzo spokojnie Biff. — Zachowuj się przyzwoicie.

Biff przeszedł na koniec lady i wrócił z dwoma kuflami beczkowego piwa. Pijak wziął w rękę kufel tak niezgrabnie, że piwo wylało mu się na ręce i na ladę. Biff popijał swoją porcję, smakując powoli napój. Wpatrywał się w Blounta spod półprzymkniętych powiek. Blount nie był nienormalny, choć na pierwszy rzut oka takie sprawiał wrażenie. Wydawało się, że coś w nim jest nie w porządku, lecz przy bliższych oględzinach każda część jego ciała okazywała się być normalna, taka, jak być powinna. Jeśli więc fizycznie nic mu nie brakowało, to nie był chyba zupełnie zdrow na umyśle. Sprawiał wrażenie człowieka, który siedział dłuższy czas w więzieniu albo studiował na Uniwersytecie Harvarda, albo też żył długo wśród obcych w Ameryce Południowej. W każdym razie jakby przebywał gdzieś, gdzie inni ludzie dotrzeć nie mogą, albo zrobił coś, czego inni zrobić nie potrafią.

Biff przekrzywił głowę i zapytał:

— Skąd pochodzisz?

— Znikąd.

— No, gdzieś się przecież urodziłeś. W Karolinie Północnej — w Tennessee — w Alabamie...

Oczy Blounta były mętne i rozbiegane.

— W Karolinie — powiedział.

— Chyba szwendałeś się trochę po świecie? — podsunął delikatnie Biff.

Ale pijak nie słuchał. Odwrócił się od bufetu i wpatrzył w ciemną pustą ulicę. Po chwili chwiejnym, niepewnym krokiem ruszył w stronę drzwi.